

nerwy, że chwila taka starczy na twardą walkę rozpoczynającego się dnia jazdy.

Tak! Odlecieć trzeba! Posuwam się szlakiem, którym rokrocznie ciągną lotne ptaki, wzdłuż Nilu. Brak mi tylko skrzydeł, toteż nie pod gwiazdami lecę, lecz wlokę się wyboistą drogą, pełną miałkiej, sproszkowanej ziemi, w której grzęzną koła roweru. Droga zła, górą pali żarne słońce, a dzikie gromady dzieci obrzucają mnie gradem spalonej grudy i szczują złośliwe psy. Od czasu do czasu drogę zastępuje mi wiejski policjant. Zarabiając parę groszy miesięcznie, stara się on bakszyszem dorobić na życie, a że ja sypać pieniędzmi nie mogę, czasem więc kijem bronić się muszę przed natrętami.

Tu natrętny żebrak, gdy go odegnasz, wyzwie cię i kamieniami obsypie. Gdy zaś dasz grosz, zwoła zgraję przyjaciół i skórę z ciebie zedrze. Taki właśnie Egipt poznałem!

Opuszczam Luksor, a za dni kilkanaście będę już w Sudanie. Szmat drogi i bezdroży przede mną. Może list następny ciekawszy będzie, może nawet uda mi się zrobić zdjęcie, jak mnie lew zjada na śniadanie lub coś w tym rodzaju. Tak, wjeżdżam w kraj, gdzie na każdym kroku czyha śmierć. A jednak, choć liczę się z trudem dni najbliższych, jakaś przepiętna siła gna mnie naprzód, oprzeć się jej nie mam mocy.

## 8

---

### KU MISJOM NAD BIAŁYM I BŁĘKITNYM NILEM

Południowy Sudan to kraj zupełnie dziki, dróg, handlu i przemysłu pozbawiony. Jedyne objawy cywilizacji, jakie wniknęły w serce tych bagnistych puszczy, to broń palna, która głośnie echem rozlega się po pustkowiach. Od czasu do czasu zawarczy motor samolotu i spłoszy stada pasących się żyraf, słoni czy gazel.

Nieco poniżej miejsca, w którym wypływająca z dzikich gór Abisynii rzeka Sobat wpada do Białego Nilu, leży miasteczko Malakal, siedziba gubernatora prowincji Górnego Nilu.

Spoglądając okiem Europejczyka, trudno osiedle to nazwać miasteczkiem, oprócz bowiem kilku budynków rządowych stoi tu tylko osiem bud, w których kupcy greccy dorabiają się swych fortun, sprzedając Murzynom barwne paciorki. Poza tym nędzne tubylcze kapany, czyli

okrągłe chaty o ścianach ulepionych z błota i chrustu, przykryte strzechą z traw, nie wyglądające raczej na domy mieszkalne.

Mieszkańcy Malakalu należą do trzech szczepów murzyńskich: Szilluk, Dinka i Nuer. Obok Murzynów mieszka tu garstka Arabów i Mula-tów, którzy żyją z handlu i oszukiwania przybywających na rynek tubylców, płacąc za wszystko świeżymi blaszkami i kolorowymi paciorkami.

Oprócz szachrajskich interesów w rękach Araba jest tu fabryka merissy, czyli kilka kotłów, w których z sorgo gotuje się napój smakiem podobny do naszego barszczu, a którym namiętnie zapijają się Murzyni.

Widok Malakalu w dzień targowy jest naprawdę szczegółny. Ulice nabite czarnym tłumem o spojrzeniach groźnych i rozbieganych. Każdy dzierży w dłoni po dwa oszczepy i maczugę lub tarczę z grubej skóry. Droga do miasta z okolicznych nawet wiosek biegnie poprzez moczary i trzęsawiska, a wszędzie rojno od krokodyli i różnych drapieżników. Większość wojowników przybywa zupełnie nago, nosząc zaledwie na biodrach pas z drobniutkich koralików, kobiety zaś ze szczepu Nuerów (tylko niezamężne) nawet bez listka figowego. Nieco dostatniej przyodziane są kobiety ze szczepu Szilluk, które upinają na biodrach paseczek z koralików lub tkany, przez ramię zaś przewieszane mają pelerynki płócienne albo skóry pantery lub gazel.

Stanąwszy w Malakalu, udałem się do gubernatora prowincji celem uzyskania pozwolenia na zwiedzenie misji katolickiej w Lul. Otrzymawszy je, czekałem na łódź, o którą prosiłem ojca przełożonego. Trzeciego dnia jednak zjawił się u mnie osobiście pan gubernator i oświadczył, że łódź ze względu na wysoki stan wody przybyć nie może. Dziwne mi się to wydało. Łódź przecież płynie po powierzchni wody, a Biały Nil nie jest oceanem, o czym wszyscy wiemy.

– Jakże więc dostać się do Lul? – spytałem.

– Jest to niemożliwe! – odrzekł gubernator, wzruszając ramionami.

Nie zamierzałem się jednak poddawać. Niemożliwe? Dla mnie wyraz ten nie istniał do tej pory, a poza tym miałem czarno na białym pozwolenie zwiedzenia misji w Lul. Udałem się do arabskiego pośrednika, a ten odszukał dla mnie człowieka, który właśnie do Lul się wybierał.

Jak się później dowiedziałem, Anglicy wydając formalne pozwolenie, w niezbyt dżentelmeński sposób nakazali jednocześnie nie wysyłać łodzi po mnie. Nie wiem, czy powodowała nimi ogólna niechęć do misji katolickich, czy o coś mnie podejrzewali. Intryga ta wyszła na jaw po dotarciu do Lul i jest po dziś dzień dla mnie zagadką.

Ruszyliśmy rankiem. Byłem uzbrojony w oszczep, jak i mój przewodnik, nagi zupełnie Szilluk. Trochę herbaty, chleba i dwa aparaty fotograficzne stanowiły cały nasz bagaż. Droga niedaleka, zaledwie czterdzieści kilometrów, ale ponad pojęcie trudna. Przebrałem się zaraz za miastem w „strój” Szilluka, bagna bowiem były głębokie, często dno uciekało spod nóg i wplaw przemierzać trzeba było drogę, w jednej ręce trzymając

ciężki toból, a oszczep w zębach. Gdzieniegdzie, na wyższych nieco miejscach, leżały w bezruchu potworne gady, czyhające na żer. Nieraz zaledwie kilkumetrowa przestrzeń dzieliła nas od szklistych szeregów kłów zastygłego w bezruchu potężnego krokodyla.

Przez dzień cały brodząc, przebyliśmy prawie połowę drogi, stając przed zachodem w jednej z wiosek noclegiem.

Zbiegła się zaraz cała wioska nagusów i obsiadła mnie wokoło. Każdy z dorosłych pozdrawiał mnie sakramentalnym *Ikadziok* (Bóg Cię przysyła) oraz *Ibi* (przybyłeś). Znając zaledwie kilka słów w narzeczu Szilluk, odpowiedzieć nie umiałem, ale mój przewodnik mówił za mnie. Mówił tyle za pomocą słów, co i gestów, przewracał przy tym białkami oczu połyskującymi łuną ogniska. Co mówił, nie wiem: widać przemysłny Arab – pośrednik określił mnie jako nadczłowieka, bo garstka pogan z szacunkiem mi się kłaniała i odsunęła nieco. W końcu, gdy już wypilem herbatę, dano mi na nocleg jedną kapane, usłano kilka skór leopardzich, rozniecono w kącie ognisko z kału krowiego i pozostawiono samego.

Najpierw obejrzałem dokładnie mą sypialnię. Czysta była wzorowo! Ściany były gładko wylepione stwardniałym błotem, takąż była podłoga z paleniskiem wklęsłym, w kącie stało kilka glinianych naczyń, worek sorgo i kilka prymitywnych narzędzi do uprawy roli. U powały wisiała sieć na ryby, kilka wianków czosnku i jakieś nasiona. Niestety gryzący dym paleniska zaczął wyciskać mi łzy z oczu. Zacząłem się dusić i wyszedłem na zewnątrz...

...by przespać tę noc pod gołym niebem... cudowną afrykańską noc.

W miejscach wolnych od traw odbijały się gwiazdy migotliwe i sierp białego księżyca, a chrząszczyki o fosforyzujących odwłokach niby błędne ogniki błąkały się nad mokradłami. Tuż opodał, u olbrzymiego paleniska rozłożyło się bydło, przeżuwając leniwie. Gdzieś dalej koncertowały żaby. Z trzepotem i wrzaskiem zerwało się stado dzikich gęsi, zaniepokojonych szelestem skradającego się doń krokodyla. Gdyby nie uciążliwe komary, noc tę zaliczyłbym do najpiękniejszych mych nocy afrykańskich.

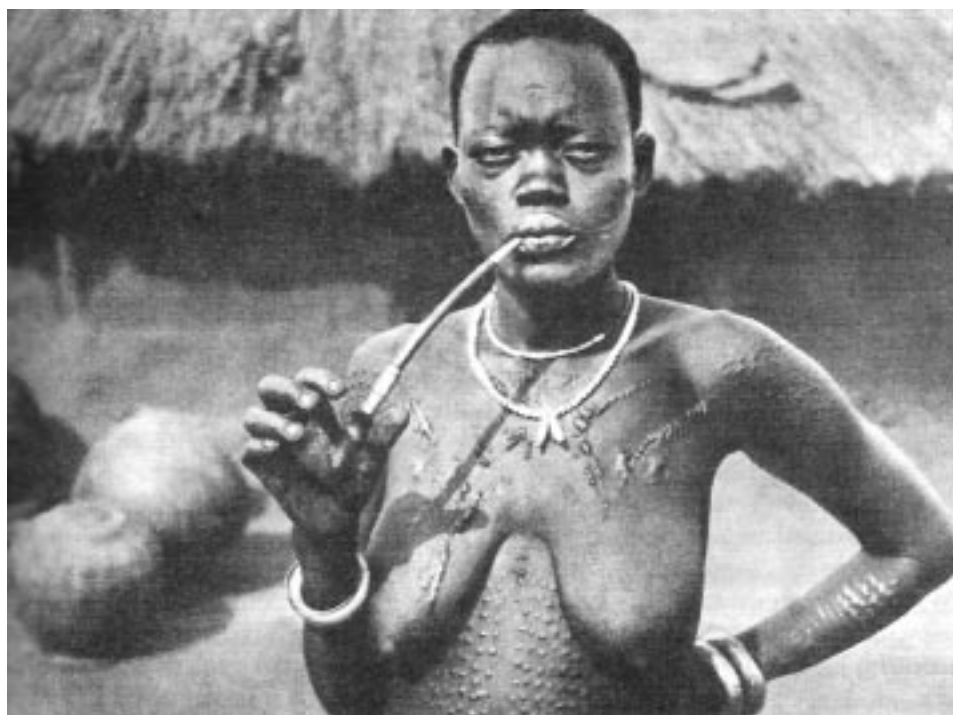
Nie mogąc dać sobie rady z natrętami, uzbierałem trochę chrustu i roznieciłem wesoły płomień. Po chwili stara, bezzębna kobieta w stroju babci Ewy przysiadła się do mnie i pokazując próżną fajkę, poprosiła o tytoń. Dałem, a stara nabiła fajkę w nabożnym skupieniu i pałac, powoli odeszła. Wkrótce jednak powróciła, przynosząc garść popiołu z paleniska i czerep z ciecżą cuchnącą, czym obdarowała mnie w zamian za tytoń. Był to środek do nacierania przeciw komarom, wątpię jednak, czy ktoś z Europejczyków stosował go kiedykolwiek. Stara poganka wyrażała na swój sposób zdziwienie, iż wolałem być pożarty żywcem przez komary niż cuchnąć tak strasznie. Aby nie urazić odmową, ofiarowałem jej jeszcze jedną dawkę tytoniu. Odeszła, pobrzękując ciężką biżuterią zdobiącą łydki i pykając żółtym dymem z tabaki.

Na niebie wzeszedł Krzyż Południa. Począł dokuczać przejmujący chłód, za to komary ustąpiły. Z mokradeł uniosły się opary i niby dymki kadzideł unosiły się powoli wyżej i wyżej.

Zbliżał się dzień. Łyk gorącej herbaty, trochę chleba i dalej w drogę. Po kolejnej całodziennym przeprawie przez porośnięte papirusami bagna stanąłem wieczorem w Lul, lecz pomimo że widać już było światła domów misyjnych, wypadło mi spędzić kolejną noc pod gołym niebem, nie znalazłem bowiem nikogo, kto chciałby przeprowadzić mnie przez Biały Nil o tej porze.

Trzeciego dnia rano po godzinnym pohukiwaniu, z drugiego brzegu posłano wreszcie po mnie łódź. Jako że włoskim władam jak polskim, po paru chwilach zawojowałem serdeczne serca misjonarzy, nie mogących nadziwić się, w jaki sposób przebyłem ten okropny szmat bagien.

Lul leży na wzniesieniu wśród bagien i mokradeł Białego Nilu, na zachodnim brzegu tej potężnej rzeki, i należy do diecezji ze stolicą biskupią w Chartumie. W roku 1901 przybyli tu pierwsi misjonarze. Do założenia stacyjki misyjnej potrzeba było ogromnego nakładu pracy. Czarna febra pochłonęła kilka ofiarnych żywotów misjonarzy, jednak przyszli inni i dalej prowadzili rozpoczęte dzieło. Długie lata trwało, za-



Nabiła fajkę w nabożnym skupieniu i paląc, powoli odeszła



Zbiegła się zaraz cała wioska nagusów i obsiadła mnie wokoło

nim zbliżono się do dzikich Szilluków, którzy dobrze pamiętali jeszcze „białe twarze” z czasu polowań na niewolników i którzy do dziś jeszcze widzą w nich wrogów. Murzyni wprawdzie nie zaczepiali nigdy, jednak trzymali się z daleka. Misjonarzy szanowali w nieco bojaźliwy sposób. Dopiero gdy klęska głodu zebrała wśród nich obfite żniwo śmierci, misja zaś rozdawała im chleb, nastąpiło zbliżenie. Powoli zaroilo się na stacji.

Dziś około pięciuset czarnoskórych chrześcijan skupia się wokół kościółka pobudowanego z cegieł rękoma samych misjonarzy. Siostry misyjne uczą pracy i katechizmu gromadę kobiet i dziewcząt. W wolnych chwilach każdy, kto może i jak potrafi, wyrabia cegły, uprawia ogród, wybiera się na połów ryb lub na polowanie, by liczna rzesza, którą misja utrzymuje, nie była głodna.

Co dzień wieczorem wszystko, co żyje, zbiera się w kościółku. Brzmia nabożne modlitwy wspólne, a potem pieśni pobożne w języku Szilluków, melodyjne i dźwięczne. Cicho i przytulnie było mi wśród tej gromadki. Po wieczery, gdy zabłyśły gwiazdy i księżyc wznosił się nad moczarami, garstka chłopaków obsiadła księży, braci i mnie wśród nich (uważali mnie bowiem również za misjonarza), i jeden po drugim przed wielebnym padre Casimiro\*, jak mnie nazywali, popisywali się znajomością

---

\* wł. ojciec Kazimierz



modlitwy i katechizmu. Nie rozumiałem wprawdzie ich melodyjnego nareczenia, ale wystarczał mi zapach, jaki dostrzegałem w twarzach.

Młody ojciec Odisio ma powierzony nadzór nad pracą licznych czarnoskórych katechistów, którzy po wioskach uczą dzieci religii. Towarzyszyłem mu co dzień, a że parafia jest bardzo rozległa, poznałem przy tym szmat ziemi. Wczesnym rankiem, gdy jeszcze półmrok wisiał nad bagnami, brnęliśmy po pas, po szyję w wodzie, niosąc dubeltówki na plecach. W niedostępnych jeziorkach jeden strzał dawał kilkanaście kilogramów dzikich gęsi lub kaczek przeróżnych gatunków. Nigdy nie zazdrościłem ojcu Odisio, pomimo że zazwyczaj miał więcej szczęścia podczas polowań. Musiał bowiem potem dźwigać więcej kilogramów do najbliższej wioski, z której odsyłaliśmy ubite ptactwo do kuchni.

Mając towarzysza przewodnika, a zarazem i tłumacza, nie czułem upływającego czasu. Docierając do biednych wiosek, przysiadaliśmy, by porozmawiać ze starszymi, by wysłuchać katechizmu dzieci i ruszyć w dalszą drogę.

Ojciec Odisio opowiadał mi o życiu Szilluków, którzy przybyli tu lat temu około trzysta z okolic Bahr el Ghazal (rzeka Gazel), prawdopodobnie głodem wygnani ze swych siedzib. Znalazłszy dobre pastwiska dla bydła, osiedlili się na tym miejscu. Mądry ówczesny ich król, którego czczą jak Boga, nakazał im zawierać małżeństwa mieszane, toteż już w drugim pokoleniu przybysze tak silnie zmieszali się z tubylcami, że powstał jeden silny szczep, liczący obecnie ponad sto tysięcy głów.

Szillukowie trudnią się rolnictwem, pasterstwem i rybołówstwem, a że od dziecka władają oszczepem, polują też chętnie na zwierzynę i ptactwo. Podstawą ich bytu jest jednak bydło, traktowane przez nich do dnia dzisiejszego jak waluta, a nawet coś w rodzaju naszego kalendarza, bo często dla określenia czasu słyszy się takie zdanie: „Było to wtedy, gdy miałem dwie krowy...”

Jako że żyją wśród niedostępnych bagien i nie mają wielkich potrzeb, hołdują samowystarczalności. Czasem tylko zbliżą się do miasteczka, aby w drodze wymiany nabyć kawałek żelaza na ostrze oszczepu, trochę soli lub koralików, którymi zdobią swe czekoladowoczarne ciała.

Szillukowie wybierają spośród siebie swego króla, który dzierży władzę aż do śmierci i rządzi szczepem despotycznie, toteż często pada ofiarą zamachu. Dobiera on sobie do pomocy cały szereg ministrów, a wszyscy oni pobierają od angielskiego rządu w Sudanie symboliczne pensje. Inaczej Anglia nie mogłaby rządzić ziemiami Szilluków, są to bowiem olbrzymie obszary o tak zabójczym klimacie, że żaden Europejczyk w tych stronach roku by nie przetrwał.

Co roku zjeżdża tu grupka żołnierzy tubylczych z oficerem, w imieniu rządu Sudanu ściągają podatek (przeważnie w naturze) i na tym koniec.

Poza chorobami, jak czarna febra, malaria i trąd, nic ciekawego nie czeka tu na cywilizowanych przybyszów. O zbudowaniu dróg nie ma mowy, gdyż wszędzie są bagna i trzęsawiska, a przez pół roku prawie

nieprzerwanie leją tropikalne deszcze, od których można oszaleć. Nieustanny ulewny deszcz, grzmia pioruny, burza po burzy przechodzi, a wszędzie, jak daleko wzrok sięga, widać topiel i wodę.

Gdy ustaną deszcze, długo jeszcze z wioski do wioski przedostać się nie można inaczej jak czółnem lub wpraw, a że wszędzie pełno krokodyli, więc nawet łodzią płynąć niebezpiecznie. Nadmiar wody ustępuje dopiero w styczniu, ale wtedy w stojących bagienkach lęgną się miliardy komarów i szaleje malaria. Słowem trzeba być Szillukiem lub misjonarzem z powołania, aby tu wytrzymać. Jako że nie urodziłem się ani jednym, ani drugim, ruszyłem dalej.

## 9

---

### ŁOWY W SUDANIE

W grudniowy poranek, gdy zajdzie już Krzyż Południa, nagie cienie włóczą się po stokach wysoko ponad sawanną wznoszącej się góry Imatou (3000 m n.p.m.). W ręku dzierżą oszczepy, łuki i skradają się swym myśliwskim szlakiem. Przedzierają się przez zwarty gąszcz cierniowych krzewów, przez które Europejczyk idąc, pomimo butów i ubrań krwią ocieka, a oni bosy i nadzy niczym jakieś upiory...

Nad zwartą zielenią podrównikowego lasu migocą jeszcze grudniowe gwiazdy, lecz już powoli wstają zorze. Od czasu do czasu las jakby zadrdzy w przerażeniu, gdy potężny ryk lwa się rozlegnie. Pod drzewem każdym, pod krzewem, wśród puszczy tajemne szmery słychać, czy to węży, czy innych mniejszych zwierząt, które słysząc zbliżające się kroki, starają się skryć jak najgłębiej.

Rozjaśnia się i słychać przybliżający się z oddali tętent jakby stu koni. Łamią się gałęzie, osuwają kamienie po zboczu, a ci, którzy idą tuż przede mną, zaciskają mocniej palce na swych oszczepach, gotując się do rzutu. Wydają się jakimiś posągami zaklętymi, z hebanu wykutymi, o doskonale odtworzonej muskulaturze. Jeszcze chwila i błyszczące ostrza ze świstem przesywają powietrze, a równocześnie pokazuje się stado pięknych antylop. Trzy śmiertelnie ranione padają z łomotem. Zostają sam. Ludzie rozbiegają się za zranionymi.

Podchodzę wyżej. Gdy osiągam grań zbocza, niczym odrzwia jakiejś rajskiej krainy otwiera się przede mną widok tak niezwykły, że oczom wprost wierzyć nie chcę. Poniżej, na polance przeciętej wyzłoconą wschodem słońca wstęgą rzeki Kinati widzę rozległy po horyzont, przepiękny naturalny ogród zoologiczny. Są dostojne, dumne żyrafy, są potęż-